Nr. 51. We Lwowie dnia 23. grudnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Shelley.

(Dokończenie).

Prometeusz Shelley'a zbliża się najbardziej do pojęcia helleńskiego poety, natomiast zasadniczo odmiennym jest od Prometeusza Goethego i Byrona. Prometeusz Goethego to rewolucyjny duch twórczy, który własnemi siłami buduje swą chatę, który lepi człowieka podług swego wzoru, nie troszcząc się o bóstwo — co więcej, szydząc z niego w poczuciu własnej potęgi:

Hier sitz ich, forme Menschen
Nach meinem Bilde,
Ein Geschlecht, das mir gleich sei
Zu leiden, zu weinen,
Zu geniessen und zu freuen sich
Und dein nicht zu achten,
Wie ich!

Tytan Byrona, to stosownie do natury »Szatana poezji«, dumny męczennik, który, przykuty do skały, zaciska zęby, aby nie zdradzić wobec Jowisza, jakie ponosi męczarnie; który nie żąda od nikogo żadnej ulgi, żadnej pociechy; któryby nigdy nie pozwolił, ażeby, jak w Shelley'owskim dramacie, okeanidy, te ucieleśnienia piękna, nadzieji, wiary, śpiewały mu pieśni ukojeń. Prometeusz Shelley'a to genjusz ludzkości, zakuty w kajdany przez pierwiastek złego, które nie jest koniecznym, niezbędnym elementem w wszechświecie, ale czemś przypadkowem, elementem, który zwyciężony zostanie przez wiecznie w naturze żyjący pierwiastek dobrego.

Walka, jaką z Jowiszem toczy Prometeusz Shelleya, jest niemal identyczną z bojem pomiędzy Arymanem a Ormuzdem w mycie Zenda Vesty. Ormuzd, duch światła, zwycięża odwiecznego wroga, Arymana, ducha ciemności, na tej zasadzie, ponieważ to, co jest szlachetne, ostatecznie zwyciężyć musi. Ten sam optymizm wypełnia także utwór Shelley'a. Tu należy także szukać powodu, czemu Prometeusz jego, mimo straszliwych mąk, jakie znosi przykuty do skały, nie odpłaca się wrogowi swemu nienawiścią. Wie on, ten genjusz ludzkości, że panowanie Jowisza, panowanie tyranji, będące tylko pewnym okresem w życiu świata, skończyć się musi; wie on, że z natury rzeczy, skutkiem nieśmiertelnych pierwiastków dobrego, jakie się mieszczą w wszechświecie, jakie się mieszczą w naturze człowieka, zakwitnie królestwo radości, królestwo swobody.

Shelley, w zasadzie najbardziej rewolucyjny z poetów, żądający najradykalniejszego przeobrażenia ustroju, nie jest rewolucjonistą krwawym: w Prometeuszu zwłaszcza, godnym uwagi i z tego względu, że Shelley, wierzący w potęgę indywidualizmu, wprowadza tutaj zbiorowego ducha ludzkości i jemu zwyciężać każe — owoż w Prometeuszu zwłaszcza przebija się ewolucyjne pojmowanie przyszłości świata.

Siła, która podług Shelley'a przekształci świat, to nie pochód niweczący wszystko stopy miedzianemi, to nie huk druzgotanych gwałtem ołtarzy dawnych bóstw, to nie pożar, to nie strumień krwi — to Miłość, ta zasadnicza ideja pierwotnego chrześcijanizmu. Buddha i Chrystus chcieli świat nią zbawić, i Shelley, mający w sobie ze wszystkich ludzi najwięcej idealizmu Chrystusowego, udowodnił całem swem życiem i całą swą twórczością, że właśnie Miłość uważał za siłę uszlachetniającą, za siłę, która przetworzy świat, która go doprowadzi do prawdziwego rozkwitu.

Zapomniałem powiedzieć, że Shelley, pojechawszy do Irlandji, aby tam bronić sprawy katolików, zalecał im, ażeby prawa swe wywalczali

nie w drodze gwałtów, nie przelewem krwi, tylko, mówiąc słowami jego manifestu, wystosowanego do mieszkańców Erynu, »cnotą, mądrością, tolerancją i zgodą: »Te to bowiem przymioty — pisał Shelley — są owemi czarodziejskiemi siłami, których posiadanie musi w drodze konieczności doprowadzić do uzyskania trwałej swobody«.

Odmiennego zupełnie rodzaju, niż »Prometeusz rozpętany«, jest inny wielki utwór Shelley'a, powstały również na ziemi Wirgilego, mianowicie pięcioaktowa tragedja »Rodzina Cencich«.*) Wizje i abstrakcje Prometeusza przybierają w tym dramacie kształty konkretne, zmieniają się w ludzi z krwi i kości. Różnica pomiędzy jednym, a drugim utworem odnosi się atoli jedynie do strony artystycznej, atmosfera moralna pozostała ta sama. I »Cenci« są poetyckim piorunem przeciwko tyranji, uciemiężającej niewinnych — tylko piorunem, posiadającym formę realistyczną. W pojęciu bohaterki nie sprzeniewierzył się również Shelley swojemu optymizmowi co do pierwiastków szlachetnych, tkwiących a priori w naturze człowieka i będących jej głównem znamieniem.

Przeciwko Beatryczy sprzysięga się wszystko: ludzie i ustawy; bestjalizm własnego ojca popycha ją do zbrodni, pomimo to charakter jej staje przed nami czystszy, aniżeli charakter surowych, w moralność bijących sędziów, którzy ją skazali: plama ojcobójstwa znika wobec przewagi wrodzonej szlachetności.

Na ten sam mniej więcej czas przypadają urodziny, obok wielu pomniejszych poezjj, dwóch wspaniałych utworów: »Epipsychidiona« i elegji na śmierć Jana Keatsa, noszącej tytuł »Adonais«.

Epipsychidion jest rapsodem miłosnym, ale tak różnym od tego, co przywykliśmy nazywać erotykami, jak »olbrzymi horyzont niebieski różni się od skrawka nieba, odbitego w niezbyt przejrzystej rzeczułce«. Poemat napisany był na cześć hrabianki Viviani, zamkniętej przez jej ojca w jednym z klasztorów w Pizie. Shelley znalazł sposobność odwiedzania nieszczęśliwej i zakochania się w dziewicy wysoce szlachetnej, wykształconej, a pięknej, jak muza grecka. Platoniczna ta miłość ostygła niebawem — pozostało tylko po niej świadectwo w hymnie, który, oprócz hołdu, złożonego idealnej kochance, zawiera, jak, mówi sam Shelley, idealizowaną historję jego życia i jego uczuć. O »Adonaisie«, elegji, napisanej z powodu przedwczesnej śmierci poety Jana Keatsa, wyraził się autor sam, tak mało zresztą skłonny do wydawania pochlebnego sądu o swych dziełach, że jest to najlepsza jego kreacja. W poemacie tym zamknął poeta zarówno uwielbienie swoje dla uroków śmierci, jak i tęsknotę za nią jako prowadzącą do nieśmiertelności. Wierny zasadzie, że nic nie ginie w naturze, posuwa się on do takiego zachwytu, apoteozując śmierć, że życie doczesne nazywa snem ciężkim, a życiem dopiero byt posmiertny — zlanie się z naturą... »Cyt! cyt! on żyje! on nie umarł wcale! On się z ciężkiego zbudził snu żywota! On stał się jednem z Naturą« — woła poeta w jednej ze strof.

Nie dziw, że człowiek, tak pojmujący nieśmiertelność, podnosi się sam przy końcu elegji do entuzjastycznego życzenia, ażeby jaknajprędzej pozbyć się form doczesnych i przejść do innego życia, do absorbcji w Przyrodzie, do połączenia się z Pięknem, tak jak się to stało z »Adonaisem«.

Wspomniałem zaledwie o kilku poematach większych rozmiarów, pomijając szereg innych, a pomiędzy tymi tak zwane poezje natury, niezmiernie charakterystyczne — ciasne ramki popularnego artykuliku nie pozwalają mi na pobieżne choćby zaznajomienie z nimi czytelników. Muszę spieszyć ku końcowi.

Jeszcze w r. 1816 podczas drugiej podróży do Szwajcarji poznał Shelley nad brzegami jeziora genewskiego lorda Byrona, jedynego współzawodnika swego na polu poezji, i serdeczne zawiązał z nim stosunki. Podczas pobytu we Włoszech obaj mocarze poezji stali się nieodstępnymi przyjaciółmi, wywierającymi na siebie wpływ wzajemny. Jeden z niemieckich pisarzy, mówiąc o stosunku Shelley'a do Byrona, wypowiada zdanie, że był to stosunek giermka do rycerza. Jest to atoli twierdzenie nie słuszne: Obaj poeci raczej uzupełniali się, zwłaszcza, że Shelley pod pewnym względem przewyższał nawet »Szatana poezji«: pomijając już to, że jako człowiek był szlachetniejszym od nieposkromionego lorda, przekonania swoje, którym poetyczny dawał wyraz w swych utworach, opierał on na pewnych podstawach naukowych, podczas gdy Byron intuicyjnie tylko zdawał się odgadywać to, co nauka postawiła za pewnik, i skutkiem tego chwiał się nieraz w swych zasadach. Szlachetny obrońca prawdziwego humanitaryzmu, Shelley, mimo prześladowań i pogardy ze strony własnego społeczeństwa, nie sprzeniewierzył się, ani na chwilę swym ideałom. Czuły na nędzę ludzką do tego stopnia, że otrzymał przydomek *cor cordium*, serce serc, czysty i nieszczęśliwy, jak Alastor, skarżył się na los swój skargą Epipsychidiona, a przedziwne akordy tej nadziemskiej muzyki elfów, zdradzające pewną kobiecą miękkość w jego charakterze, zlawszy się z idealną pieśnią Prometeusza i potężnym protestem Beatryczy Cenci, zdają się nieprzerwanie dźwięczyć nad pyramidą Cestiuszową, u której stóp, na cmentarzu protestanckim w Rzymie, spoczywają popioły poety. Śmierć go spotkała niezwykła: utonął wskutek powstałej nagle burzy, a jak inni twierdzą, napadnięty przez piratów włoskich, samotną

*) »Rodzina Cencich« wyszła w moim przekładzie osobno w »Tanich wydawnictwach« Wiślickiego w Warszawie. Inne przekłady moje drukowane były: »Alastor« w petersburskim »Kraju«, »Oda do Wiatru Zachodniego« w »Prawdzie« Al. Świętochowskiego; »Epipsychidion« w warsz. »Życiu« i »Adonais« w »Świecie«.

płynąc łodzią z Livorno do Lerici 8. lipca 1822 r. w towarzystwie przyjaciela, kapitana Eilerkera Williamsa, który również znalazł śmierć w głębinie morskiej. Po kilku dniach ciało Shelley'a wyrzucone zostało przez fale na brzeg, a Byron sprawił mu pogrzeb niezwykły: zwłoki kazał spalić na stosie, urnę zaś z popiołami złożył w miejscu wzmiankowanem. Płomień pożarł ciało, zostawił tylko serce nietknięte. Shelley zakończył życie, mając zaledwie lat trzydzieści — można też do niego zastosować w całej pełni słowa, któremi w proroczem nieomal przeczuciu zakończył przedmowę do jednego ze swych poematów:

Dobry wcześnie zagasa,
Ten zaś, w kim serce bardziej jest suche od kurzu [letniego,
Przepala się cały do końca i potem czadzi...

Umarł, jeżeli pojęcie śmierci w zwykłem bierzemy znaczeniu; zapatrując się zaś na skon ze stanowiska Shelley'a, trzeba nam zwrócić ku niemu słowa Platona, użyte przez poetę za motto do Adonaisa:

»Aster, prin men elampes eni zooisin eoos,
»Nyn de thanon lampeis hesperos en phthimenois«.

Przedtem, pomiędzy żywymi, ranną świeciłeś jutrzenką,
Dziś, pośród zmarłych szeregu, gwiazdą płoniejesz [wieczorną.

Jan Kasprowicz.



Z ruchu literackiego.

(„Tragedje Eschilosa" w przekładzie K. Kaszewskiego, Bibljoteka najcelniejszych utworów, Warszawa S. Lewenthal. — »Majówka« Andrzeja Niemojowskiego, Lwów księgarnia Polska. — »Bez woli«, powieść Sylwerjusza Kondratowicza, Warszawa S. Lewenthal. — »Kilka słów o dzisiejszem wychowaniu« Izabeli Moszczeńskiej, Poznań W. Simon).

Jakie wrażenie robią tragedje Eschilosa na człowieku naszych czasów? — Naturalnie nie mówimy o specjaliście-filologu, który z autorami starożytnymi za pan brat przestaje, ani o krytyku-filozofie, który ma dar wnikania umysłem, wcielania się niejako, we wszystkie epoki, wszystkich autorów, wszystkie dzieła. Ale mieliśmy na myśli w naszem zapytaniu zwykłego człowieka cywilizowanego, dość wykształconego, aby mógł czytać starożytnych nawet autorów, a dość inteligentnego, aby zdołał odczuć najgłębsze wzruszenia ducha ludzkiego. Owoż jeżeli weźmiemy takiego osobnika i zechcemy zbadać wrażenie, jakie na nim zrobi Eschilos, musimy wpierw zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie, iż wrażenia tego nie można nawet porównywać do wpływu, jaki na każdego wywierają dzieła nowożytne. Różnica pomiędzy jednem a drugiem wrażeniem, choćbyśmy nawet porównywali starożytne arcydzieło z utworem zwykłego talentu nowszych czasów, pozostanie zawsze i musi pozostać jak pomiędzy najwspanialszą choćby rośliną zasuszoną, a skromnym kwiatem żywym. A dzieła ducha ludzkiego więdną i schną mało co powolniej, niż kwiaty...

Już Szekspir — tak szczerze powiedziawszy — jest za starym, aby prócz podziwu, jaki każdy musi uczuwać dla tego geniuszu, budził w obecnej publiczności wybuchy zachwytu; a cóż dopiero Eschilos!

A niesłuszne są z tego powodu narzekania niektórych krytyków, chorych na katar żołądkowy lub na wątrobę, że w tem jakoby był dowód, iż poezja ginie, że nowe czasy nie są w stanie jej rozumieć. Owszem, to nie dowód znikomości poezji, ale jej nieśmiertelności. Gdyby upodobania estetyczne ludzkości nie zmieniały się, to raz napisane arcydzieła starczyłyby na wieki całe i poezja stałaby się wnet zbyteczną, bo nowych dzieł nie potrzebaby już było. A tak każda nowa wiosna przynosi nowe kwiaty, a te z koleji, ustępując miejsca innym, albo giną w zapomnieniu, albo przechodzą między — zasuszone rośliny.

Ta woń zasuszonego kwiatu, który dawno, bardzo dawno i pod innem, niż nasze, niebem się rozwijał, owiewa czytelnika, kiedy otwiera Eschilosa. A dla wyrafinowanych smakoszy estetycznych owa woń starości ma osobny wdzięk, tworzy w nich osobne zamiłowanie dodatnie i piękne, o ile nie przechodzi w maniactwo, które już zachwyca się staremi książkami, starymi obrazami, dlatego, że stare, lub nawet tylko zaśniedziałymi, choć nowymi, posążkami, jedynie, że starość przypominają.

Naturalnie do tego rodzaju amatorstwa przy dziełach literackich, trzeba koniecznie czytać je w oryginale; jeżeli się je poznaje w tłomaczeniu, znaczna przynajmniej część tej patyny starości zanika i czytelnik musi się zadowolić podziwianiem raczej wewnętrznych piękności dzieła. Ideałem tłumaczenia byłoby naturalnie takie, któreby jednym i drugim względom odpowiedziało; oddało i cechy zewnętrzne, jakie epoka na dziele pozostawiła, i nastrój, do jakiego się wzniósł autor. Jednakże takie idealne tłomaczenia bywają nadzwyczajną rzadkością, jeśli już w ogóle przypuścimy, że są możebne. A poza niemi, przyznam to otwarcie, wśród mniej doskonałych przekładam te, które może mniej są „naukowowierne", mniej dbają o archaiczną ornamentykę, ale za to w czytaniu pozostawiają wrażenie dzieła sztuki, a nie mozolnie posklejanych starych czerepów. Do tego drugiego raczej rodzaju zaliczylibyśmy Kaszewskiego przekład tragedji

eschilosowych, a co, sądzę, starczy za litanję pochwał.

Z kilkudziesięciu niegdyś sztuk Eschilosa, powiązanych w trylogje, pozostało do dziś dnia siedm, t. j. „Siedmiu pod Tebami“, „Prometeusz w okowach“, „Ucieczka“ i „Persowie“, stanowiące ułamki rozmaitych trylogii, nadto jedna cała trylogja, Oresteja“, której części noszą tytuły: „Agamemnon — Krwawy odwet — Eumenidy“.

Niezupełne jeszcze wypoczwarzenie się z pierwotnego obrzędu religijnego w dramatach tego „ojca tragedji“, który pierwszy wprowadzał dwie osoby na scenę i dramat zrobił z monologu djalogiem, nadaje jego utworom cechy takiej uroczystości, jakiej u późniejszych autorów już się nie spotyka. A że to były czasy nienazbyt dalekie najpierwszych i najgwałtowniejszych starć z naturą, więc, przy wulkanicznem usposobieniu poety, znalazły one niejako odźwierciedlenie w jego tragedjach, w których kolizje mają istotnie żywiołową siłę, przypominają walkę olbrzyma z burzą morską, przypominają dziki, górzysty kraj, oświetlony błyskawicami. Charakter tych kolizji eschilosowskich malują najlepiej te słowa, włożone przezeń w usta Prometeuszowi:

...Niech Zeus z czuleści
Podwójnej ogień na mnie wypuści,
Niech grzmot wraz z wichrów szalonem tchem
Pruje powietrze, aby ich siła
Ziemię u podstaw jej podważyła;
Niech pianę morską jakiś pęd srogi
Na gwiazd niebieskich rozrzuca drogi,
A w konieczności wszechwirze śmiało
Zeus moje ciało
Zepchnie w czarnego Tartaru noc:
Śmierci nie zada mi jego moc!

»Prometeusz w okowach» najsilniejsze też na nowożytnym czytelniku czyni wrażenie. Jest to jeden z tych typów literackich, jak »Hamlet« nieśmiertelny, bo nieśmiertelnem jest w piersiach ludzkości to dążenie, które »Prometeusz« wyraża, dążenie do prawdy, doskonałości, miłości świata całego, do prawdziwego światła, mimo kajdany »Przemocy« i »Siły«, które w tragedji Eschylosa przykuwają Tytana do skały, mimo policyjne systemy rządów, które wyobraża Hermes, mimo pęt ortodoksji, których uosobienie możnaby sobie upatrzyć w Zeusie, mimo wreszcie konieczne prawa, rządzące wszystkiem, a więc i Zeusem. Na równi z »Prometeuszem« żywe niesłychanie wrażenie, czasami tak żywe niemal, jak rzecz świeża, wywołuje »Oresteja« zwłaszcza, ostatnia jej cześć »Eumenidy«. A żałować wypada, że nie mamy najwybitniejszych klasyków starożytności w takiem conajmniej tłómaczeniu, jak p. Kaszewskiego, które choć może ma niejedną wadę, lecz okupuje ją przez to, iż z czytania starożytnego autora nie robi przykrej pracy, jak to przyznać trzeba suchym przekładom innych tłómaczy. (Dok. nast.).

Nieboszczka Barbara,

przez

Karolinę Świetlę.

(Dokończenie).


I znowu powiódł pieszczotliwym ruchem po jej obwiązanej ręce, i znowu patrzał jej w oczy niespokojnem, stroskanem spójrzeniem.

— Zaraz lepiej mi będzie, gdy skosztuję uzbieranych przez ciebie borówek. Stanę się od nich żwawą, jak wiewiórka.

— Gdybyż tak było!

— Będzie z pewnością, wiem o tem od najświętszej Panny. Ale skoro mię uzdrowi, będę musiała pójść pokłonić się Jej w Wamberzycach. Żądała tego odemnie dzisiejszej nocy we śnie, a jam obiecała.

— Nie powinnaś była tego czynić! — jęknął żałośnie Maciek, spuszczając głowę na piersi — wszak przyrzekłaś nam wszystkim z ręką na sercu, że nigdy już na żadną nie pójdziesz pielgrzymkę.

— Ale teraz wszystko będzie całkiem inaczej — uspakajała go Baśka — komornica potrafi ci lepiej we wszystkiem dogodzić, a dzieci będą o wiele grzeczniejsze. Pójdzie więc wszystko jak z płatka, jak gdybym ja sama tu była.

— Oh, nie pójdzie, nie pójdzie! — szlochał Maciek, chwytając się jej pierzyny, jak dziecię, które matka zamierza opuścić.

— Zobaczysz, że pójdzie — ciągnęła dalej Baśka z uśmiechem, chociaż wewnątrz szarpał ją taki ból, jak gdyby już stała na mękach bożych — powiedz tylko zawsze komornicy, jak ma ci to, lub owo przyrządzić. Nie jest ona przecie złą kobietą, zastosuje się więc chętnie do twojej woli i dobrze gospodarować ci będzie w mojem zastępstwie. Wszak wie, że chałupa przejdzie na jej własność, jeżeli nam obojgu życzliwie do śmierci służyć będzie — ma to już zapisane. Nie siedź też ciągle w domu, wychodź od czasu do czasu, wstępuj do sąsiadów, abyś wiedział, co się między ludźmi i na świecie dzieje i miał czem się ucieszyć. Do kościoła chodź również i pomódl się tam za mnie. Modlitwa bardzo jest pożyteczna dla tych, którzy się w podróży znajdują... Ja także wspominać ciebie będę w modłach swoich... a nawet nic innego tam robić nie będę, jeno się modlić za ciebie!...

— O, gdybyś raczej w domu pozostać chciała!

— Rzeczy swoje w pięknym staraj się utrzymywać porządku, aby na dłużej starczyły. W kożuszku możesz sobie chodzić, kiedy ci się podoba, ale kapotę oszczędzaj, bo takiej drugiej już sobie nie sprawisz. Nie używaj też ciągle nowych koszul, na które ci ubiegłej zimy naprzędłam, tych, wiesz, z czerwonemi serduszkami na kołnierzu. Przywdziewaj je tylko w niedzielę

i święta, aby się zbyt prędko nie zniszczyły, bo nie miałbyś wówczas żadnej memi rękami wykonanej pamiątki, a toby mię smuciło... Nie zaniedbuj roboty, każdego dnia coś sobie postrugaj, tem najłatwiej stłumisz tęsknotę. Najlepiejby było, gdybyś zaraz wziął się do owej klatki na wiatr; a gdy robota przykrzyć ci się będzie, zawołaj natychmiast komornicy, wypijcie sobie odrobinę gorzałki, zakurzcie fajeczki, zagrajcie w karty.

— Oh, nie zapiję żalu za tobą, ani dymem go nie zaćmię, jużem próbował, ale nadaremnie — skarżył się nieszczęsny Maciek, coraz silniej i silniej czepiając się posłania, przyczem łzy sypały się mu z oczu, jak grube ziarna grochu. Aż w końcu i Baśka, nie mogąc dłużej patrzeć suchem okiem, na jego boleść, w płacz uderzyła.

— W takim razie wiesz, co ci powiem? — załkała, otaczając jego szyję zdrowem ramieniem — jeżeli gryźć cię zacznie zbyt silna tęsknota i jeżeli nie potrafisz dać sobie w żaden sposób rady bezemnie, toż przecie niema żadnej konieczności, abyś mię samą tam pozostawiał. Puść się w pogoń za mną!

Gdybyście słyszeli, jak wesołym wybuchnął śmiechem Maciek, gdy Baśka wskazała mu nakoniec skuteczny na tęsknotę środek! Pozwoli jej udać się na pielgrzymkę, czemu nie, ale gdy godziny zaczną się mu wlec zbyt wolno, a serce ściśnie żal niezmożony, wówczas pobiegnie w ślad za nią. Baśka ani się spodziewać będzie, gdy uchwyci ją za fartuch i już jej nie puści, będzie widziała, że nie puści!

VII.

Gdyby Maciek był pozwolił pójść dzieciom samym na Bezdiezy, byłoby się co do joty tak stało, jak to Baśce przepowiadał. Przez całą drogę tam i napowrót musiał jednym ciągiem przestrzegać je i napominać. Gdzie im się najlepiej podobało, tam chciały bawić jak najdłużej i tam zbierać borówki, nie bacząc zgoła na miejscowość, w której te jagody rosły. Toby dopiero skutecznem były one dla Baśki lekarstwem! I o to jedynie przez całą drogę się troszczyły, aby poźreć jak największą ilość czarnych jagód i jeżyn, wskutek czego ręce ich i policzki były wciąż jakby umalowane. Maciek musiał przystawać u każdego źródełka i zmuszać je do mycia się, aby nie straszyły tak bardzo spotykanych po drodze ludzi swoim wyglądem. Układał też sobie w głowie, jak będzie się skarżył przed Baśką, jak jej opowie, że nie zaznał nigdy w życiu tylu kłopotów, co przez te trzy dni, że więc borówki pójdą jej z pewnością na zdrowie.

Popędzał tymczasem przed sobą dzieci, jak stadko koźląt, a każde z nich dźwigało brzemię, któreby mogło nie jedną, lecz dziesięć uzdrowić osób. Oh, miały i one nie mniej do opowiadania o wycieczce na Bezdiezy, doznały i one również niedoświadczanych dotąd przyjemności!

Wpierw nim komornica zdołała temu przeszkodzić, wpadł Maciek razem z dziećmi do izby, aby co rychlej uradować Baśkę widokiem tak obfitego plonu — lecz stanął, jak wryty, w progu: łóżko pod oknem było próżne, Baśki nigdzie ani śladu...

Spora upłynęła chwila, nim komornica zdołała na tyle płacz stłumić, aby za nim pośpieszyć. Ale on nie pytał jej o nic, nawet na nią nie spojrzał, chociaż czuł ją obok siebie.

— Dziwicie się zapewne, Maćku, nieprawdaż? — zdobyła się na zapytanie komornica, której serce pękało z żalu — ale jak tylko odeszliście, zdrowie naszej gospodyni o tyle się polepszyło, że mogła wstać i wybrać się na pielgrzymkę do Wamberzyc. Mówiła ponoś już z wami, jak się macie urządzić na wypadek, gdybyście jej w domu nie zastali.

Baśka umarła w kilka godzin po odejściu Maćka. Przeczuła nieomylnie ostatnią chwilę swoją i — jak o to błagała Boga z usilną żarliwością — wymknęła się szczęśliwie z tego świata przed jego powrotem. Sama zarządziła przed śmiercią pogrzeb, omówiła i załatwiła bieżące sprawy, zaklinając każdego na świętości najświętsze, aby nie zdradził przed Maćkiem, nim on sam się nie domyśli, że ona już nigdy do niego nie wróci. Miała nadzieję, że stopniowo przywyknie do jej nieobecności, przypuszczając wciąż, że tak długo na pielgrzymce bawi.

Jak gdyby on bez niej mógł istnieć!

Komornica podprowadziła zwolna nie stawiającego oporu Maćka do stołu, przyniosła mu obiad, krzątała się koło biedaka z szczerą troskliwością, jak to na wieczne zbawienie swej duszy Baśce była przysięgła. Maciek ani słówkiem jej nie odpowiadał. Nie dotykając jedzenia, siedział cichy, nieruchomy, z utkwionym w posłanie wzrokiem, z twarzą, w której kropli krwi nie było...

Nie dał się też w żaden sposób namówić do pójścia na spoczynek i całą noc przesiedział za stołem, nie odrywając błędnych oczu od pustego łóżka...

Gdy komornica weszła nazajutrz z rana do izby, zastała go na tem samem miejscu, na którem pozostawiła z wieczora. Wydał się jej o dwadzieścia lat starszym, a włosy miał całkiem białe, ale już się nie zacinał w milczeniu.

— Czego za wiele, to za wiele — skarżył się dziwnie chrapliwym głosem — tak oto, ni stąd ni zowąd odejść i nie wracać, czy kto kiedy słyszał coś podobnego? Ale gdy zechciało się jej pielgrzymki, niech-że tam sobie siedzi, a ja będę swoje robił. Wszak i bez niej damy sobie radę.

— Macie słuszność — podchwyciła komornica — niech sobie siedzi, kiedy się jej podoba, a my tutaj zostaniemy. Jeżeli nieobecność jej sprawia wam smutek, toć najdotkliwiej ją ukarzecie, nie okazując tego wcale nazewnątrz. Drugi raz dobrze się wpierw namyśli, nim znowu dokąd poleci. Zapijcie oto raczej swoje zmartwienie.

I stosując się do rozkazu Baśki, podała mu kieliszek, karty i fajkę. Maciek wyciągnął ku nim skwapliwą rękę. Ale kieliszek stał przed nim wcale się nie opróżniając, fajka zagasła w zębach, a nazwy kart wymknęły się mu nagle z pamięci. Ach, mówił jej przecież, że bez niej nic mu się nie uda, a ona pomimo to odeszła! I cóż dziwnego, że przesiedział znowu za stołem całą noc, mrucząc nie swoim głosem: »Czego za wiele, to za wiele«!

Z robotą szło mu nie lepiej. Wyrzynał, strużył, wygładzał, ale gdy chciał złożyć do kupy, nie wiedział, co do czego należy. Brakowało mu i tutaj jej wesołego uśmiechu, jej słodkich słów, które mu zawsze wszystko wyjaśniały, a błąkającą się niekiedy jego pamięć, na właściwą naprowadzały drogę. Teraz, kiedy już nie patrzyły na niego jej oczy, tak się mu wszystko plątało, że do ładu dójść nie mógł. Ha, nawet nieszczęsna miotła zgoła się mu nie udała i wcale nie była do swych poprzedniczek podobna.

— Czego za wiele, to za wiele! — skarżył się żałośnie, siedząc w swoim kąciku, skąd dobrze mógł widzieć próżne łóżko. — Dopokąd Baśka nie wróci, nie potrafię nic zrobić już z samego zmartwienia, że odeszła.

I siadywał tak bezczynnie całemi godzinami na jednem miejscu, nie spuszczając oczu z pościeli, jak gdyby natężonem wpatrywaniem się mógł ją zmusić do powrotu.

Niekiedy wstawał i zbliżał się do zegara, chcąc widocznie posunąć naprzód jego skazówki, aby czas biegł szybciej, ale po chwili cofał się ze spuszczoną na piersi głową. Kiedyindziej chwytał kredę, jak gdyby miał zamiar kreślić na drzwiach kreski, jak to czynił podczas pierwszej nieobecności Baśki, by tem dokładniej obrachować, kiedy odeszła i kiedy wrócić może; to znowu uchylał drzwi, aby pójść popatrzeć, czy już jej nie widać, — nie doprowadzał jednak nigdy to skutku swoich zamiarów. Jakkolwiek bowiem udawał sam przed sobą wiarę w pielgrzymkę, zeznawał jednak, w głębi duszy że przedsięwzięła podróż inną, z której nikt jeszcze nie wrócił, choćby ci, co ich oczekują i po nich płaczą, posuwali ile chcąc zegary, aby przyśpieszyć chwilę spotkania, i kreślili kredą na drzwiach kto wie ile kresek...

Tak sobie, jak ludziom starał się wprawdzie Maciek wmawiać jeszcze, że Baśka w Wamberzycach przebywa, ale stając przed obliczem Boga, przyznawał się nagle do prawdy. Nie szedł już między żonatych do ławek po prawej stronie, tylko pozostawał w kruchcie i wciskał się w grono żebraków, którzy nikogo i nic na świecie nie mają. Tam padał na kolana, przyciskając do ust różaniec, a ci, którzy stali w pobliżu, słyszeli go powtarzającego przez całą mszę szeptem jękliwym: »Za nieboszczkę Barbarę, za nieboszczkę Barbarę!...«

Gdy jednak wychodził z kościoła, ogarniała go ponownie chęć wmówienia w siebie, że ona jeszcze nie umarła; zatrzymując więc spotykanych ludzi, wypytywał ich, czy nie widzieli gdzie Baśki, i skarżył się, powtarzając swoim zwyczajem, że czego za wiele, to za wiele, bo oto żona nie wraca i nie wraca z pielgrzymki do domu!

A ludzie nie starali się go wyprowadzać z błędu, lecz przyświadczali owszem, że ma istny krzyż pański z żoną, która domu nie pilnuje. Niektórzy doradzali, aby ją pozostawił, gdzie jest, aby jej nie przyjmował, gdyby nawet powróciła. On zaś zapewniał, że tak uczyni i ciesząc się myślą, jak bardzo go prosić będzie, układał sobie, że każe jej długo żebrać pode drzwiami, nim je otworzy. Ale gdy wchodził do izby, gdzie stało pod oknem puste jej łóżko, z którego tak serdecznie doń się uśmiechała, że robota mu szła jak z płatka, gdzie tak radośnie spoglądała mu w oczy, że potrafił wykonać wszystko, czego ludzie od niego chcieli, gdzie z pewnością byłby zrobił i ową klatkę, w którąby wiatr dał się pochwycić i zamknąć — wówczas padał bezsilnie na ławkę, wpatrując się bezmyślnem, szklistem okiem w próżnię, a biedny jego umysł nie wiedział, jak ma podołać temu, co los nań zesłał.

Pewnego dnia atoli wstał z rozjaśnioną twarzą. Była to niedziela i w kościele dzwonili właśnie na ranną mszę.

— Przynieście mi z komory koszulę w czerwone serduszka i błękitną kapotę, a żwawo! — zawołał na komornicę dawnym swym tonem i głosem.

Ta spojrzała na niego zdziwiona: od śmierci Baśki nie miał ani razu na sobie kapoty. Oszczędzał ją, bo mu tak nieboszczka kazała, jak oszczędzał również i koszule w serduszka. Oh, pamiętał każde bez wyjątku słowo, które do niego powiedziała onego wieczora, wyprawiając go na Bezdiez!

— Nie czekajcie mnie dzisiaj z kościoła — zwrócił się do komornicy.

— A to dla czego?

— Nie mogę już dłużej wytrzymać... trzeba raz temu koniec położyć... Wybieram się w drogę do Wamberzyc. Mówiła mi Baśka, abym — jeżeli czas wlec mi się będzie zbyt leniwie — podążył w ślad za nią, — tak też uczynię. Toż dopiero wielkie oczy zrobi, gdy tak znienacka stanę przed nią i powiem: oto mię masz, Baśko miła!

Komornica, sądząc, że mówi na wiatr, jak wówczas gdy się odgrażał, że powracającej Baśki do chaty nie wpuści, pochwaliła jego zamiar, podała mu rożaniec i kij, a potem przez długą chwilę odprowadzała go wzrokiem, gdy kroczył samotny drogą, aż łzy zakręciły się jej w oczach. Lubiła patrzeć na nich dawniej, gdy oboje z Baśką szli do kościoła: po sposobie, w jaki stąpali jedno obok drugiego, można już było poznać, jak wielką to im sprawia przyjem-

ność, jak się cieszą, że razem żyją na świecie bożym... Ludzie z nich żartowali, coś tam przebąkując o słabych na umyśle, a przecież tak mało grzechu, jak u tych dwojga, nie było chyba w żadnej innej chacie.

Nadaremnie jednak wyglądała komornica dnia tego Maćka na obiad. Z kościoła przybiegły tylko dzieci, zgrzane, bez tchu, wylękłe — i opowiedziały, jako Maciek, klęknąwszy w kruchcie kościelnej, modlił się, jak zwykle, na różańcu za duszę nieboszczki Barbary. Ale potem, gdy inni powstali z klęczek, on jeden nie wstał, gdy wszyscy wyszli, on jeden pozostał. Wówczas dzieci dotknęły jego ramienia, ale ten ani drgnął, tylko patrzył na nie tak dziwnemi oczyma, że w krzyk uderzyły z przerażenia.. Nadbiegli ludzie, zaczęli rozcierać, trzeźwić Maćka, ale on wciąż leżał bez ruchu, bez życia...

Nie mogąc się powrotu Baśki doczekać, odszedł w ślad za nią — znalazł najskuteczniejszy na tęsknotę środek.

I, jako żywo, nikt się temu nie dziwił: wszak czego za wiele, tego naprawdę za wiele!...

Tłumacz. z czeskiego

Marja Wysłouchowa.



Postęp społeczny Anglji.

(Ciąg dalszy).

Wszystkie te rozmaite formy stowarzyszeń były nowem zjawiskiem w życiu społecznem Anglji, to też nie znalazły one (jak zresztą i kapitalistyczne towarzystwa akcyjne) odpowiednich norm w prawodawstwie. *Friendly Societies* najpierw uzyskały uznanie klas wyższych, to też pierwsze doczekały się wydania ustaw, umożliwiających ich istnienie i rozwój. Natomiast związki zawodowe i współdzielcze musiały walczyć z nieprzezwyciężonemi niemal przeszkodami, jak nieuznawanie przez prawo związków za osoby prawne, niezależne od osób składających je członków, nieograniczona odpowiedzialność członków za straty w sklepach spółkowych, niemożność ścigania sądowego przeniewierzających się urzędników i t. p.

Drugim etapem były stowarzyszenia, które nawet przy charakterze politycznym, lub nawpół politycznym były całkowicie tolerowane. Nawet w czasie najsilniejszego rozbujania czartyzmu tylko popełnione występki, czy też przekroczenia ustaw pociągały za sobą kary, nawet bardzo surowe kary, same jednak stowarzyszenia, nawet podejrzane, nie stawały się przedmiotem ucisku, lub szczególniejszego dozoru.

Po upadku ruchu czartystowskiego, po rozczarowaniu co do skuteczności drogi rewolucyjnej, robotnicy naturalnym rzeczy porządkiem zwrócili się z większą usilnością ku wskazanym drogom pokojowym. Żeby ich utrzymać w tych zamiarach, należało wszakże koniecznie ułatwić im działanie w tych formach, dać im możność dochodzenia do jakichbądź rezultatów. Pokój społeczny Anglji utrzymany został dzięki temu właśnie, że klasy przewodnie zrozumiały tę prawdę i zastosowały się do niej.

Ruch kooperacyjny (współdzielczy), który zaczął się rozwijać szybciej po wynalezieniu nowej formy stowarzyszenia spożywczego przez Pjonierów Rochedalskich (r. 1844), pozyskał warunki trwałego istnienia i rozwoju dzięki t. zw. socjalistom chrześcijańskim (F. D. Maurice i jego uczniowie). Założyli oni w r. 1850 Towarzystwo popierania stowarzyszeń i od r. 1852 przeprowadzili przez parlament szereg ustaw, umożliwiających rozwój kooperacji. Dziś ruch ten wyraża się w cyfrach następujących: 1 miljon członków, 36 mil. f. st. obrotów rocznie, 3 mil. zysków i 12 mil. kapitału. Stowarzyszenia spożywcze (gdyż te tylko się rozwijają) zapewniają członkom wyborowe produkty po cenie kosztu, są dla nich szkołą samorządu i oznajamiania się z warunkami ekonomicznemi, stanowią ogniska, w których znajdują zaspokojenie umysłowe i moralne potrzeby członków (jak samokształcenie, wychowanie dzieci i t. d.). Takie są bezsprzeczne korzyści kooperacji, co do jej roli, jako czynnika przeobrażeń społecznych, ta jest przedmiotem sporów i nie mamy tu miejsca na ich rozpatrzenie. W każdym razie zaznaczyć musimy, że stowarzyszenia takie wpływają na udoskonalenie budowy ekonomicznej, usuwając nadmierną ilość osób, zajętych rozdzielaniem produkcji (przekupniów), znosząc niepotrzebne wydatki (na reklamy) i zarazem w pewnej mierze (o ile kierują wytwarzaniem w zakładach własnych) dążąc do racjonalnego przystosowywania produkcji do zapotrzebowania.

Największą wszakże niechęć budziły w klasach wyższych związki zawodowe, w których najbardziej objawiała się samodzielność klasy robotniczej. Z czasem jednak sami przedsiębiorcy zaczęli się godzić z ich istnieniem, i zaczęli przypuszczać, że można bez ubliżenia swojej godności wchodzić z przedstawicielami robotników w pertraktacje, jakby z równymi sobie. Przemysłowcy wielcy, zwłaszcza inteligentniejsi i nie rutyniści, znaleźli niebawem, że istnienie związków jest nawet korzystnem dla przemysłu. Do wymagań większej, niż gdzieindziej w Europie płacy i krótszego dnia (do czego prócz związków przyczyniło się głównie prawodawstwo fabryczne) przemysłowcy angielscy przystosować się umieli bez straty dla siebie. Lepsza organizacja tech-

niczna i większa wydajność pracy robotnika sprawiają, że drogi robotnik angielski wytwarza jednak taniej, niż jego źle płatny i przepracowany towarzysz ze stałego lądu. W stosunkach fabrykantów z robotnikami związki utrudniały wprawdzie wszelkie podstępne urywanie płacy i wogóle, rzec można, zwiększały odporność pracowników, ale z drugiej strony nadawały protestom tych ostatnich charakter bardziej praktyczny, umiarkowany i usuwały wszelkie przejawy brutalne. Rozgoryczenie też między klasami nie wzmagało się dzięki związkom, lecz raczej przeciwnie słabło, a wskutek tego obie strony lepiej oceniać mogły swój interes i łatwiej się porozumiewały. Możność pokojowego załatwienia masy drobnych sporów, króre poprzednio dawały powód do strejków i zaburzeń, skłaniała przedsiębiorców do uznania pożyteczności związków; jeszcze korzystniejszem dla przemysłu było ujednostajnienie warunków produkcji dla wszystkich współzawodniczących przedsiębiorców danego okręgu. Pod wpływem związków robotniczych powstawały też związki przedsiębiorców i to zorganizowanie obustronne okazało się już nader pożytecznem dla zapewnienia pokoju społecznego w Anglji. Dziś związki zawodowe i powstałe pod ich egidą izby pojednawcze, sądy polubowne i t. p. mają gorących zwolenników wśród przedsiębiorców; przed 25—30 laty jednak było jeszcze nieco inaczej, godzenie się ze związkami było w swoim początku zaledwie. Zbrodnie dokonane w Sheffieldzie, a przypisywane robotnikom, spowodowały parlament do wyznaczenia osobnej komisji śledczej dla zbadania kwestji związków zawodowych wogóle. Okoliczności, wśród których powołaną została do życia komisja, zdawały się zapowiadać w rezultacie nowe prawodawstwo wyjątkowe. Materjał jednak faktyczny, zebrany przez komisję, oraz gorąca obrona związków przez jednego z członków komisji, pozytywistę Harrisona, skłoniły parlament przeciwnie do wydania kilku aktów, nadających pewne prawa związkom i usuwających te ogromne trudności, jakie dotąd stały na drodze związkom.

Przyznanie praw *trade-unionom* nastąpiło wszakże już po wejściu Anglji na drogę ustępstw politycznych, po reformie wyborczej z r. 1867, o czem pomówimy w następnym, ostatnim artykule.

(Dok. nast.) *J. KN.*



Przegląd pism.

»Bibljoteka warszawska«. 1895. Wrzesień. Październik. Listopad.

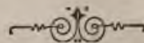
Umieszczony we wrześniowym zeszycie Bibljoteki artykuł T. Smarzewskiego omawia »Niedoszłe przymierza w r. 1870«, wyjaśniając na podstawie dokumentów dyplomatycznych w 25-letnią rocznicę wojny francusko-pruskiej stanowisko Austrji i Włoch, sprzymierzeńców, na których pomoc liczył wówczas rząd francuski. Polityce Austro-węgierskiej nadał ton Andrassy, żądając neutralności, która miała zjednać monarchji Prusy. Przez usta Andrassy'ego przemawiać mogły i »obawy patrjoty węgierskiego, lękającego się, by Austrja w przymierzu z Francją nie odzyskała dawnego stanowiska w Niemczech i nie użyła go na poskromienie pretensji i dążeń węgierskich. Zwycięstwo polityki Andrassy'ego popsuło plany ówczesnego kanclerza Beusta, który chciał zabawić się w pośrednika między Włochami a Francją i, doprowadziwszy między nimi do skutku przymierze, ułatwić Francji zwycięstwo nad nienawidzonemi Prusami i zyskać dla Austrji przyjaźń Włoch wzamian za Rzym, który spodziewał się dla nich utargować od Francji. We Włoszech, pomimo pozornej niezgody między Wiktorem Emanuelem, parlamentem i ministrami, — wszyscy pamiętali o tem, że, cokolwiek Włochy uczynią, jedynym celem ich polityki jest zajęcie w ten lub ów sposób państwa kościelnego. Wszelako, tak ze strony Austrji, jak i ze strony Włoch prowadzono z Francją pertrakcje dyplomatyczne. Przerwało je zwycięstwo Prusaków pod Woerth.

Z dziedziny nauk przyrodniczych znajdujemy w omawianych zeszytach Bibljoteki trzy artykuły. W jednym z nich p. Flaum pisze »o metodach badania fizjologicznego«, a w drugim p. Nusbaum, rozbierając »przyczyny śmierci organicznej«, dochodzi do wniosku, że śmierć i życie nie są zjawiskami rozdzielonemi od siebie niezgłębioną przepaścią, że są one koniecznym wynikiem warunków zewnętrznych, a przedewszystkiem rezultatem jednych i tych samych warunków wewnętrznych t. j. wewnętrznego mechanizmu, właściwego każdemu ustrojowi żyjącemu i zmieniającego się w ciągu życia w pewnym ściśle określonym kierunku. P. Stanisław Kramsztyk ze znanym swym talentem popularyzatorskim zaznajamia nas ze zjawiskami »na kresach ciepła, zimna«, o najwyższych i najniższych dających się osiągnąć temperaturach, o sposobach ich mierzenia itd.

Artykuł A. Donimirskiego o »parcelacji« napisany został z powodu studjum, które w tej materji p. t. »Bank włościański a parcelacja« umieścił w warszawskiej »Gazecie rolniczej« p. Jan Bloch, znany warszawski finansista.

Ciekawy ten ze wszech miar artykuł, podamy w osobnem streszczeniu.

Z beletrystyki znajdujemy w omawianych zeszytach dokończenie powieści Z. Kowerskiej »Na służbie«, nowelkę Radziwiłła »Siostra Anastazja« i »Krystę« M. Konopnickiej, której piękne poezje z cyklu »Italja«, w dalszym ciągu zdobią karty Bibljoteki. *p.*



PRO MEMORIA.

24. grudnia 1798. Urodził się w Zaosiu na Litwie Adam Mickiewicz.

27. grudnia 1863. Zginął w Kownie na szubienicy słynny partyzant żmudzki, ksiądz Mackiewicz.

28. grudnia 1800. Legja Kniaziewicza okryła się chwałą wojenną w bitwie pod Hohenlinden. Waleczność jej — wodle świadectw Francuzów — przyczyniła się wielce do zgniecenia Austrjaków.

28. grudnia 1863. Paulin Bohdanowicz został rozstrzelany w w Szawlach na Żmudzi.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.